

POD ZNAKIEM DIONIZOSA



Port w Petriti

Piotr Hoffman

Wycarterowany *DIONIZOS* dał nam przedsmak wielkiego żeglarstwa. Ale nawigowanie wśród wysp greckich okazało się niewiele trudniejsze od mazurskiego. Miało jednak smak słonej wody i urok egzotyki południa. A pływanie we flotyli było interesujące poznawczo, towarzysko i... sportowo.



W tawernie. Właśnie przeszedłem mój mały Horn

Przeczytałem artykuł Mirka „Kowala” Kowalewskiego („Rejs” nr 4/1999) o jego wspaniałej wyprawie na Horn. Miałem także okazję posłuchać jego barwnych opowiadań na ten temat. I cóż, marzenia ruszyły jak hormony w wieku dojrzewania. **Też** chcę mieć swój Horn. Może nie taki sławny jak Kowala, może nie tak daleko, może nie na ZAWISZY, ale...

No właśnie, gdzie i na czym? Myśl o rejsie prześladowała mnie przez cały sezon. Pomysł zaczął się powoli krystalizować, gdy grupa gifyckich żeglarzy postanowiła wybrać się w rejs. Zaproponowali mi udział w tej imprezie. Po przeliczeniu tak zwanych wolnych środków obrotowych doszedłem do wniosku, że bez sponsora się nie obejdzie.

Postanowiłem go poszukać w firmie, w której pracuję. Bądź co bądź jest to największa firma czar-

terowa w Europie, jeżeli chodzi o śródlądzie. Przedstawiłem swój problem Szacownemu Gremium Władzy Zwierzchniej. Władza jak to władza, pomyślała i wymyśliła: planujemy uruchomić flotyllę dla zagranicznych klientów, może czas podejrzeć, jak to się robi w innych firmach czarterowych, porównać z naszą firmą, może się czegoś nauczyć... Może?

Jakież było moje zdziwienie gdy po dwóch tygodniach pokazano mi zdjęcie jachtu, którym miałbym... dowodzić w Grecji. Był piękny i duży. Prawie 14 m po pokładzie. Lawina ruszyła.

Podróż

Jak dojechać do Grecji, a właściwie na grecką wyspę Kerkira (z angielska nazywaną Korfu)? Naj-

prościej samochodem i promem. Niestety, do tego potrzeba dodatkowych dwóch dni w jedną stronę, nie mamy tyle czasu. Pozostaje samolot. Koszt ok. 1500 zł. Nasza oficer ds. logistyki Iza znalazła bezpośredni samolot czarterowy, co dziwniejsze cena obejmowała tygodniowy pobyt w hotelu wraz ze śniadaniem. No, tych śniadań to nie zjemy... Ale za to poleciliśmy bezpośrednio na miejsce i niedrogo.

Kerkira przywitała nas piękną pogodą, ok. 24°C. Półgodzinna podróż autobusem i jesteśmy u wrót żeglarskiego rajy.

Gouvia Marina - dzień pierwszy

Setki jachtów, trzy potężne baseny portowe na dziewięćset sześćdziesiąt stanowisk cumowni-



Kurs na Lakke

czych, market, skutnie, sklepy żeglarskie, słowem wszystko, co żeglarz może sobie wymarzyć. Wśród tych setek jachtów stał nasz wymarzony, wyśniony *DIONIZOS*. Był imponujący. Dla takich szuwarowo-bagiennych wodniaków jak my był to kawał potężnego pływadła. Ian, kapitan floty *Odysseusa* (tak nazywała się firma czarterowa), zaprosił nas na pokład. Umówiliśmy się, że po rozpakowaniu odbędzie się oficjalne przekazanie.

Słówko o samym jachcie. Był to 44-stopowy słupek o powierzchni żagla 100 m², z trzema dwuosobowymi i jedną trzyosobową kabiną i przestronną mesą, gdzie po rozłożeniu stołu mogły spać jeszcze dwie osoby. W mesie był też stół nawigacyjny z tablicą rozdzielczą, GPS-em, odbiornikiem Navtexu i radiem. W kambuzie oprócz garów była pojemna chłodziarka - z uwagi na duży pobór prądu działała tylko w czasie pracy silnika. Były też dwie

kabiny sanitarne z ubikacją i prysznicem, a jakże, z ciepłą wodą pobieraną z pięćsetlitrowego zbiornika. Z uwagi na ekologię w portach korzystało się z prawej kabiny, która miała zamknięty zbiornik na fekalia. Niestety całą ekologię trafiał szlag po wyjściu z portu, gdzie już na pełnym morzu wypompowywało się wszystko do wody.

Jacht wyposażony był też w mocny, cicho chodzący silnik z pełnym (240 litrów) zbiornikiem i czterdzieści-litrowym żelaznym zapasem ropy, elektryczną windę kotwiczną, echosondę, log, wskaźnik siły i kierunku wiatru pozornego, elektrycznego autopilota, a nawet w dodatkowy prysznic w kokpicie, słowem we wszystko, co człowiekowi na morzu przydać się może.

Rozpakowani, meldujemy gotowość do przejęcia jachtu, Jak już wspomniałem, pracuję w firmie czarterowej i wiem, czego oczekuje klient od przekazującego. Opera-

cja została przeprowadzona bez zarzutu. Krótka informacja na temat działania silnika, windy kotwicznej, ubikacji, urządzeń nawigacyjnych, takielunku. Lista inwentarzowa do sprawdzenia - jeżeli by czegoś brakowało, to zgłóście dzisiaj i do zobaczenia jutro na odprawie.

Pora wypłynąć na krótkie sprawdzenie jachtu. Cumy rzucone i ahoy. Silnik pracuje równo, jacht reaguje karnie na każdy ruch kołem sterowym. Ludzie!!! Ja płynę!!! Na razie na silniku. Dużym łukiem wchodzimy w dobrze oznakowane wyjście z portu. Czas na żagle. Stawianie grota bez kabestanu jest tu niemożliwe, a więc niebieski fał na bęben, korba w rękę i „brać się chłopcy, brać, a żywo”, grot powoli odwijając się z rolera wysuwa się z masztu. Gotowe! Maszyna stop. Cisza. Chyba dopiero teraz uwierzyłem, że tu jestem. Wspaniałe góry spadające stromo do błękitnej wody to widok, który musi wyrzeć wrażenie na

kimś, kto pływał do tej pory po zimnym, szarym Bałtyku, do tego późną jesienią.

Skierowałem jacht w stronę małej wyspki, właściwie takiego ostańca skalnego przy wyspie Vidho. Nazywa się to według mapy i locji Skałą Nauzyki. Stało tam już kilka łódek. Żagle precz, kotwicę rzuć! Stoimy. Pierwsza kąpiel. Sonda wskazuje 10 m głębokości. Skok do wody i... tfu, ta woda jest stona! Zapomniałem. Teraz na pewno wiem, że to nie Mazury. Powrót do mariny bez niespodzianek, kilka manewrów i zwrotów dla wprawy i wpływamy do portu.

Najtrudniejsza część operacji - dobić tyłem. Praktyka zdobyta u Kostka przed rejsem przydała się. Jacht zachowuje się dokładnie tak samo jak Osjan. Doskonale reaguje na ster, tyle że dziobem. Rufą nie chce skręcać. Za wcześniej wrzuciłem wsteczny, poprawka, tylko bez paniki. Załoga skupiona, gotowa na każde polecenie. W końcu oni też są na tym jachcie. Teraz dobrze, wolno do tyłu. Bartek - cuma dziobowa, Tomek i Piotr - rufowe, dziewczyny pilnują burt. Jeszcze trochę do tyłu, maszyna stop, rufowe na ląd, dziobową podebrać, knagować wszystko! Ludzie to działa!!!. Chyba się trochę spociliśmy. Pierwszy dzień mamy za sobą. Przy kolacji omawiamy wrażenia, analizujemy manewry i... na zdrowie za nasz rejs!

Agios Stefanos - dzień drugi

O 10.00 odprawa w portowej tawernie. Skippera naszej flotylli. Gerrita, już znamy, bo wczoraj przekazywał nam jacht. Jego załoga to Katrin - hostessa, bardzo miła i sympatyczna, po prostu Kaśka, oraz jej mama (po raz pierwszy na morzu). We trójkę będą się nami opiekować w czasie rejsu. Poznailiśmy też trzy pozostałe załogi flotylli. Gerrit pokazał w locji port, do którego płyniemy, omówił trasę, podał kierunek i siłę wiatru, no i do zobaczenia w Agios Stefanos. Jeszcze tylko zakupy, przewiezione



Na górze Nastrojowy zaułek Lakki. Na dole Uliczka w Pardze





Panorama Pargi

przez właściciela marketu samochodem i wypływamy.

Wiatr podobnie jak wczoraj - słaba trójka. Stawiamy żagle, silnik stop. Jest czas na podziwianie widoków i drugą kawę. Sprawdzam na mapie trasę i głębokości, bez problemów. Oficer nawigacyjny - Tomek sprawdza i nanosi na mapę pozycję jachtu. Pokazały się dwa delfiny. Płyniemy na północ. Po lewej zatoka Agni. Wpływamy powoli na silniku. Woda kryształ. Pomimo 10 m głębokości widzimy dno. Rzucamy kotwicę 50 m od brzegu. Część załogi płynie wpraw, reszta dobija na pontonie.

Wiele razy mówiło się na Mazurach o tym, że powinniśmy żyć z turystyki. W Grecji przekonałem się, że jest to możliwe. Mała zatoka o długości 300 metrów dostępnej linii brzegowej i proszę... Trzy małe restauracyjki, w każdej pełny zestaw greckich potraw i najróżniejszych trunków. Do tego trzy pomosty, pla-

ża i możliwość wynajmu motorówki ze sternikiem. Po sutym obiedzie, żegnani przez właściciela restauracji, odpływamy. Mamy do przepłynięcia jeszcze jakieś trzy mile. Wiatr wzrósł do 5°B.

Po kilku halsach w lekkim przechyle wpływamy do „naszej” zatoki. Przy wejściu do niej, na boi cumowniczej stoi okręt Greckiej Marynarki Wojennej. Konieczna przezorność - do wybrzeży Albanii raptem dwie mile i zdarzały się już przypadki piractwa. Mniej więcej w połowie zatoki, od strony południowej wychodzi w wodę betonowy pomost, na którego końcu stoi Gerrit w ogromnym sombrero. Tam mamy stanąć. Ustawiam jacht rufą do kei i... jak w domu! Szanuję wędkarzy, ale faktem jest, że pojawiają się tam, gdzie są najmniej potrzebni. Ten pan nie będzie nas kochał... Do kei zostało jeszcze trzy metry. Cofam powoli robiąc rozbieżnego zeza (keja z tyłu, a wrzeszcząca

echosonda z przodu). Jeszcze dwa metry, metr, pół metra. Echo piszczy jak wszyscy diabli, ale Gerrit uspokaja, że zostanie nam jeszcze parę centymetrów. Stoimy. Trap na ląd i lekko wybieramy się na kotwicy, żeby nie walić płetwą sterową o podwodny gład. Gerrit kiwa głową z aprobatą, więc chyba nie jesteśmy tacy najgorsi. Po przemyśleniu postanawiamy trzymać się tej wersji.

Agios Stefanos to maleńka osada. Raptem kilka restauracji, sklep, bar. I parę domów z zamkniętymi okiennicami, wszak jest po sezonie. Domy zamknięte, ale reszta, a jakże czynna. Właściciele stoją przed drzwiami i zapraszają. Przy stolikach pusto. Z czego oni żyją? Wpadniemy sprawdzić to wieczorem, teraz spacer. Za pierwszym szeregiem zabudowań jest... no właśnie, to już cały Święty Stefan. Dalej jest tylko gaj oliwny i stroma kręta szosa nika w górach. Wysoko widać pozostałości po latarni mor-

skiej. obecnie jest to podobno obiekt wojskowy.

Zatrzymujemy się w połowie zbocza i podziwiamy wspaniały widok na port, zatokę, morze i Albanie. Jest pięknie! Wieczorem spotykamy się z całą flotyllą w jednej restauracji. Wznosimy toast za wspólny rejs. Usłyszeliśmy też kilka miłych słów Gerrita na temat umiejętności polskich żeglarzy. Ponoć jesteśmy dobrzy. Jeszcze trochę i sami w to uwierzymy. Załogi powoli rozchodzą się na jachty. Postanawiamy przedłużyć nieco ten miły wieczór w barze. O trzeciej nad ranem przyszła Kasia. Przechyliła słuszny kielich trunku zwanego popularnie u nas wódką i... nawet nie mrugnęła. Toż to nie Kasia, tylko nasza swojska Kachna!



Nabrzeże Lakki

Petriti - dzień trzeci

Na odprawie co nieco niewyspany Gerrit informuje nas o trasie dzisiejszego rejsu. Wracamy na południe, mijamy Gouvię i dalej aż do zagięcia Korfu, na sam dół wyspy. Podchodzimy bliżej stałego lądu, wiadomo - czas na kąpiel. Wybieramy zatokę Valtou pomiędzy ujściem rzeki Thiamis i przylądkiem Vatatsa. Z locji wynikało, że nie powinniśmy spotkać płytszej wody niż 8 metrów pod kilem. Powoli płyniemy na silniku. Tomek informuje spokojnym głosem o głębokości, dziewczyny mniej spokojnie o dziwnych koralikach bliżej brzegu. Nagle dno podnosi się z 23 na 8 metrów. W zasadzie tak ma być, tyle tylko, że ono nadal rośnie. Zwalniam. Tomek podaje głębokość już nie tak spokojnie - 7 metrów, 6 metrów gwałtowny skok na 2 metry. Cała wstecz!!! Uciekamy rakiem. No cóż, locja nie jest najłodsza i najwyraźniej kłamie. Wypływamy z zatoki.

Włączam samoster i analizujemy mapę. Prawdopodobnie przez te kilka lat od wydania locji, rzeka Thiamis nanosząc duże ilości materiału skalnego wypłycała dno. Trudno, płyniemy dalej. Po jakichś dwóch godzinach nawigator stwierdza, że jesteśmy na szerokości Petriti. a więc zwrot na 90° i płyniemy na zachód.



Port w Mourtos

Ster przejmuje nasz pierwszy oficer - zapasowy kapitan - Ewa. Echo zatrzymało się na 27 m. Jest bezpiecznie. Po lewej mijamy przylądek Levkimis. Będąc w kabinie usłyszałem jednocześnie pisk echosondy i krzyk Ewy. Głębokość spadła nagle z 27 na 0,5 metra pod kilem. Niedobrze. Rzucam się do steru, po drodze włączając silnik, szybki obrót koła sterowego w prawo, krótkie komendy, zwrot!!! Głębokość zaczyna rosnać. Tym razem spocili się chyba wszyscy. I znów zgodnie z mapą powinno być głęboko. Nie było. Widać już pirs Petriti i som-

brero Gerrita. Powoli wchodzimy w główki. Trzeci raz tego dnia pisk echosondy, zjeżyły mi się włosy na głowie. Tym razem jednak tak ma być. Na odprawie była mowa o płytkiej, ale możliwej do przejścia ławicy piaskowej w wejściu do portu.

Potriti to mały, typowy port rybacki z mnóstwem malutkich kolorowych kutrów. Sam port nie najpiękniejszy, ale otoczony kilkoma restauracjami i plażą. Dalej jest małe miasteczko z kilkoma sklepami i piekarnią. Wieczorem spotkanie z całą flotyllą, która powiększyła się o dalsze trzy jachty. Kachna z mamą



Gouvia pozostało za rufą



Po burzy

przygotowały poczęstunek w postaci kilku potraw były nawet gołąbki, tyle że wielkości orzechów włoskich i w smaku przypominające... No, nie wszystko musi być zaraz doskonałe! Za to poncz był wspaniały i pełen witamin. Zapytaliśmy Gerrita o mielizny, które tak nas dzisiaj prześladowały.

W Ormos Valtou jest hodowla ryb, a koraliki to po prostu pływaki sieci odgradzających hodowlę od morza. Płynizna była faktycznie spowodowana działalnością rzeki. Za drugą mieliznę Gerrit serdecznie nas przeprosił. Nie sądził, że będzie nam się chciało robić aż takie koło, bo

większość uczestników flotylli pływa zawsze najkrótszą drogą i po prostu nam o tym nie powiedział. Stwierdził, że mieliśmy dużo szczęścia, bo jeżeli ktoś się tam władowuje, to już siedzi na dobre.

Siódma rano. Coś się stało. Dookoła wrzask i rumor przeokropny. To duże kutry wróciły z morza i trwa walka o ryby.

Lakka - dzień czwarty

Opuszczamy Korfu i kierujemy siły na południe w stronę wyspy Paxos. Na zachodzie widać wreszcie pełne morze. Wiatr 5°B zachodni.



sokimi, skalistymi brzegami. Zatoka wygląda jak jezioro w szczytowych partiach Tatr. Po wschodniej stronie pięknie odnowiona celnica wenecka, a na wprost miasteczko i port Lakka. Chcieliśmy się przed przybiciem wykąpać, ale Gerrit przez radio ponaglił nas; z uwagi na dużą ilość jachtów mogą być potem problemy z parkowaniem.

I znów kotwica, mała wstecz, cumy, trap i stoimy. Schodzę na ląd i już po trzech metrach ląduję w wygodnym foteliku portowej tawerny nad kuflem zimnego piwa. Lakka to piękne malutkie miasteczko wielkości ćwierci Węgorzewa. Kilka sklepów, dwa kantory, kościół i z piętnaście restauracji i kafejek, przeważnie pustych, a jednak otwartych. A prosto - sklepy z pamiątkami też były otwarte - do zamknięcia kafejki.

Paxos i Mourtos - dzień piąty

Rano spacer wąskimi uliczkami Lakki, zakupy, odprawa i lecimy na stały ląd do Mourtos. Ale przepytany o miejscowe atrakcje Gerrit wspomniał coś o grotach na wybrzeżu Paxos, opływamy więc najpierw wyspę od zachodniej strony. Faktycznie wplywamy do zatoki, gdzie w skale widać dwie „cavy”. Z daleka groty nie wyglądają na tak duże, dopiero gdy podpływamy bliżej, okazuje się, że niejednym mazurski jacht mógłby tam zrobić spokojnie kilka zwrotów, i to z postawionym masztem. Oczywiście nie obyło się bez kąpieli i sesji zdjęciowej. Cała zachodnia strona Paxos pokryta była mnóstwem grot i zapadlisk skalnych wyglądających czasami jak wyrzeźbione w skale amfiteatry. Przepłynęliśmy między Paxos i Lakką i ruszyliśmy na północny wschód, do następnego portu.

Przed wyjazdem do Grecji czytałem o promach, które kursują po Jońskim, zazwyczaj płynąc szybko, nie zwracając uwagi na małe jachty. Fakt, momentami wydaje się, że farwater to autostrada, po której suną kolosy. Pół biedy, jeżeli płyną stałym kursem, gorzej, jeżeli nagle go zmienią i wałą prosto na nas, bo zape-

wne oficer wachtowy postanowił pokazać swoim pasażerom jacht pod żaglami z bliska... Skóra cierpnie na grzbiecie, gdy takie kormyśło rośnie w oczach. Odbiliśmy na południe, żeby wrócić na kurs już za potężną MELODY. Niebo - woda. niebo-woda i tak sześć razy. Fala za takim kolosem to istne tsunami.

Wpływamy do Mourtos. Spora marina, niestety pełna jachtów, tak że trudno znaleźć miejsce. Przy nabrzeżu południowym (miejskim) pełno, na końcu północnego pirsu jest jedno wolne miejsce na samym końcu. Ciasno, Wchodzimy powolutku tuż obok dużego lśniącego nowością jachtu pod brytyjską banderą. Wąsko, płytko, mało miejsca na manewry, ale w końcu udaje się. Od jachtu sąsiada oddziela nas sześć potężnych odbijaczy i 25 centymetrów wolnej przestrzeni. Czyli O.K. Nie, nie O.K. Sąsiadowi to się nie podoba! Niestety nic więcej nie możemy już zrobić. Trudno, ten pan też nie będzie nas kochał.

Mourtos był jedynym portem, w którym na kei nie czekał na nas Garet. Przez radio zgłosił nam awarię jednego z jachtów flotyli. Musiał zostać razem z nim. Po jakiejś godzinie przyплыли. Po cumę do uszkodzonego PEGASSUSA wypłynęła Kachna na pontonie. Nie dość, że przyholowała jacht pontonem, to na koniec własnoręcznie dociągnęła go do kei, nie wychodząc zresztą z pontonu. No panowie! Do tej kobiety to z uczuciem i respektem proszę. Opowieść o awarii usłyszeliśmy od niemieckiej załogi PEGASSUSA. Otóż zepsuł im się silnik i całą drogę musieli pokonać na żaglach! Zgroza!!! Zastanawialiśmy się, co też z tym biednym jachtem będzie dalej. Ano rano o siódmej przyплыł lan z Gouvi i w godzinę zreperował silnik. Ot serwis!

Mourtos jest nieco większym miasteczkiem od Lakki, malowniczo położonym w dolinie i na okalających ją wzgórzach. Małe domki wyglądają jakby rosły kaskadami w górę. Nabrzeże miejskie to znów pasaż z szeregiem czynnych do ostatniego klienta rodzinnych restauracji i barów serwujących wspianą re-

Płyniemy w lekkim pręchyle z prędkością 7-8 węzłów. Pogoda nadal bez zmian, słońce i 24°C. Płynąc na Paxos odkryliśmy nowy sposób uprawiania żeglarstwa, tak zwane żeglarstwo motorowe. Bez względu na siłę i kierunek wiatru jacht powinien mieć wprawy na blachę grot i silnik ustawiony na full ahead, foka nie stwierdza się. Płynie żaglóveczka, że hej! Afe!!! Sport ten był nagminnie uprawiany przez żeglarzy pod niemiecką banderą.

Około siedemnastej wplywamy do najpiękniejszej, jak się okazało, zatoki Lakka. Wchodzi się tam przez wąskie przejście między dwoma wy-

gionalną kuchnię i wyśmienite wino własnego wyrobu podawane prosto z beczki. W uliczce za portem znaleźliśmy kilka sklepików z pamiątkami, kantor i sklep z antykami. Na nabrzeżu co kilkanaście metrów było ujęcie prądu i wody. Z tego ostatniego skwapliwie rano skorzystaliśmy. Zatakowani wyruszyliśmy do naszego ostatniego portu - Pargi.

Parga - dzień szósty

Wypływając z Mourtos skierowaliśmy się od razu na zachód, między stałą ład a wyspy Sivota i Ayios Nikolas. Według locji było tam płytko, ale Gerrit stwierdził, że przejdziemy. Udało się bez problemu. Po drodze minęliśmy następne promy oraz „statki do połowu turystów”. To taki wynalazek, na którym stawia się kilka żagli, ale siłą napędową i tak jest huczący na pełnych obrotach silnik. Upycha się na pokładzie turystów jak sardynki i obwozi po co atrakcyjniejszych miejscach.

Do miasteczka Parga nie można wpływać. To znaczy jest tam port, ale pirs jest bardzo mały i ledwo wystarcza dla lokalnej floty, a osłona od przeważających wiatrów praktycznie nie istnieje. Wpływamy więc obok, do zatoki Valtou. Wspominałem już tę nazwę przy okazji mielizny, ale to inna zatoka o tej samej nazwie. Powtarzanie się nazw geograficznych to zresztą częste i dość kłopotliwe zjawisko w Grecji. Pirs w Valtou to jedyne miejsce w trakcie naszego rejsu, gdzie przybiliśmy dziobem. Po

prostu wznosił się on na wysokość okoto trzech metrów nad poziom wody. Z rufy nijak nie dałoby się wejść na ład.

Jako komitet powitalny wystąpił oczywiście Gerrit, tym razem w towarzystwie ponad dwudziestu kotów. Jeden z nich tak się zachował w naszym oficerze marzącym - Grażce, że w nocy próbował popełnić samobójstwo skacząc z pirsu do wody. Tylko szybka interwencja Bartka, który z pełnym poświęceniem rzucił mu się do wody na pomoc, uratowała go od niechybnej śmierci.

Naprzeciw portu, po południowej stronie zatoki Valtou, wznosiła się potężna budowla weneckiej twierdzy, która w przeszłości broniła dostępu do Pargi. Do miasteczka można się dostać pieszo przez plażę i dalej stromym deptakiem pod wspomnianą twierdzą, lub wodną taksówką, niedrogą, ale potwornie hałaśliwą. Wybraliśmy drogę lądową. Spod twierdzy rozciąga się wspaniała panorama miasteczka. Niesamowite jest to, że poza pasażem nabrzeża, wszędzie jest pochyłość. Chodzi się wąskimi uliczkami albo w górę, albo w dół. Nad głową, na balkonach wiszą niezliczone ilości kwiatów i całe powietrze przesycone jest ich zapachem. Po południowej stronie zatoki Agiou Athanasiou, nad którą leży Parga, na wysepce Panayia stoi wciśnięty między dwie skały mały kościółek do którego można dostać się tylko drogą wodną. Wracając do portu zoba-

czyliśmy daleko w górach na północny zachód od Vallou, wspaniałe oświetloną budowlę. Jak się okazało, była to stara twierdza turecka stanowiąca przed wiekami przeciwwagę dla wspomnianej już weneckiej.

Powrót - dzień siódmy

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Czas wracać do domu. Przed nami ostatni etap - przejście do Gouvi. Wypływamy żegnani przez wszystkich z pieśnią na ustach i smutkiem, który zawsze towarzyszy rozstaniom. Nawigacyjny wykreślił kurs, którym mamy dopłynąć do Gouvn.

Pogoda zaczyna się psuć, po raz pierwszy nie ma słońca. Wiatr

Ku pouczeniu i przestrodze

Po morzu Jońskim pływa się prawie tak jak po Mazurach. Cały czas widać chociaż jeden brzeg, Nawigacja przez to jest znacznie prostsza. Gdy wybierzecie się na rejs po raz pierwszy, warto skorzystać z oferty flotylli. Znający trasę przewodnik jest w stanie znacznie uatrakcyjnić rejs, pokazując najciekawsze miejsca.

Wiadomo, że w trakcie planowania przyszłego rejsu bardzo ważnym elementem są koszty. Wyżywienie w Grecji jest porównywalne cenowo z Polską albo tańsze. Poza sezonem nikt nie pobiera opłat portowych, nawet woda pitna jest za darmo. Główne koszty to podróż i koszt czarteru.

Co do jachtu, to lepiej wziąć go z dobrej, sprawdzonej firmy czarterowej. Może nie najtaniej, ale mamy wtedy pewność, że jednostka będzie sprawna technicznie, z serwisem i odpowiednio wyposażona, dzięki czemu rejs nie zamieni się w koszmar awarii i napraw, tylko przysporzy wielu wspaniałych wrażeń.



Grota na Paxos

wzrasta z 2 do 5° B. Morze zaczyna pokazywać swoje drugie oblicze. Idziemy tępy m baidewindem. Zaczyna padać. Wieje już siedem. Rozpętała się prawdziwa burza z piorunami, które wałają co chwilę w rozfalowaną wodę. Przy 8° B rzucaję komendę do zrefowania grotu. Jakies kłopoty. Trudno. Fok precz, grot precz! Idziemy na silniku. Wiatr odkręcił do baksztagu. Robimy 6-7 węzłów. Niewiele mniej niż na żaglach. Jest niezłe, to znaczy nie za dobrze, bo właśnie wpływamy na szlak żaglowy, przecząc Korfu ze stałym lądem. Co chwila musimy schodzić z kursu, aby ustąpić miejsca kolejnym promom, wodolotom i innym ko-

romyślom, które wyłaniają się z deszczu jak zjawy. Przeszające padać. Widać już twierdzę Korfu. Przez przeszło dwadzieścia mil widzialność nie przekraczała tysiąca metrów, robiliśmy kilkanaście zwrotów i jesteśmy idealnie na kursie. GPS to jednak wspaniały wynalazek. Do portu wchodzimy już z powrotem w słońcu.

Była więc flauta, było piękne żeglowanie przy dobrym wietrze i był sztorm. Zaliczyliśmy wszystko.

Przeszedłem swój maty Horn

Zgłaszamy jacht do zdania. Jeszcze tylko ostatnie zdjęcie na jego tle

i jedziemy do hotelu, wszak był zapłacony razem z samolotem. Wieczorem, na pożegnalnej kolacji właściciel restauracji, w której jedliśmy, dał pokaz greckiego folkloru. Zaczęło się od spokojnego tańca z synem, później tańczyły panie, nasze oczywiście też, panowie zostali porwani do tańca na jednej nodze, następnie gospodarz zatańczył z płonąca lampą oliwną na głowie i wreszcie wielki finał - tłuczenie talerzy! Dopóki właściciel tłukł sam, było O.K., ale po chwili przyłączyli się do niego Holendrzy od sąsiedniego stolika i zrobił się problem. Okazało się, że jego talerze były gliniane, za to ich - z prawdziwej porcelany... Doprawdy. Grecja to bardzo dziwny kraj.

Fot. Ewa Cwizewicz, Grażyna Polakowska

